

Kto poznał siebie samego, wraca
do siebie. Jeśli więc dowiesz
się, że składasz się z życia i
światłości oraz że z takich
składników pochodzisz, wrócisz
do życia. To jest ostateczne
dobro dla tych, którzy posiadają
gnozę: stać się bogiem.

(Słowa przypisywane Hermesowi
Trismegistosowi z "Poimandresa",
I traktatu "Corpus Hermeticum".
Tłumaczył ksiądz W. Myszor.)

1. Actus geranos

Niemłody już, ale postawny i silny mężczyzna wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Tylko groźne pohukiwanie lasu. Żaden inny dźwięk nie dochodził jego uszu, a jednak wiedział, że zaledwie kilkaset kroków dalej następny zawodnik odbywa taniec w Małym Labiryncie.

Tej nocy czwarty z tropiśladów przystąpił do turnieju, który miał rozstrzygnąć, kto dostąpi zaszczytu wejścia do odkrytego niedawno, starożytnego labiryntu.

Darogwiadz przestał nasłuchiwać i znów rozpoczął nerwowy spacer wokół dębu. Wiele razy uczestniczył w podobnych zawodach, nigdy jednak nie chodziło o tak wysoką wygraną. Zawsze, jak dotąd, gońcy kapłanów przynosili wieści o odkryciach labiryntów zbudowanych ludzkimi rękami na powierzchni ziemi. Wzniesione zwykle były z ogromnych głazów, toteż nie umiano się dostać do ich środka inaczej jak tylko drogą wytyczoną przez budowniczych, pełną pułapek, wrogiej magii i, czasem, żywych jeszcze potworów.

Tym razem gońcy odkryli krętodroga we wnętrzu góry, powstałego poprzez połączenie dziesiątków naturalnych jaskiń i podziemnych chodników. Tylko raz, kilkanaście pokoleń temu, zdołano przemierzyć tak zbudowany labirynt. Dokonał tego najślawniejszy z tropiśladów - Dobar Gromibyk. Wyszedł z krętodroga po dwudziestu siedmiu dniach, kiedy wszyscy już myśleli, że nie żyje i przyniósł to, czego żądali kapłani - figurkę Wielkiej Matki Ziemi, Pani Labiryntu, Władczyni Zwierząt. Kapłani Swarga odpowiednio nagrodzili Dobara, a zdobytą przez niego rzeźbę oddali żarłocznemu Najwyższemu Ogniewi podczas Święta Żniw, przez co następny rok okazał się urodzajny jak żaden wcześniejszy. Dzięki zniszczeniu posążka kapłani zyskali też władzę nad kilkoma magicznymi kręgami, gdzie dotąd w każdą pełnię zbierały się demony otchłani, sprowadzające na ludzi mór i głód. Niektórzy mówili, że byli nimi najwięksi

bohaterowie Starych Ludów, mszczący się za wygnanie swego narodu przez przodków mieszkających teraz na tej ziemi Chrobatów.

Darogwiad z rosnącym podnieceniem czekał na swoją kolej w zawodach. Przebył wiele sztucznych labiryntów, pokonał wszystkie przeszkody, zabił kilku groźnych niehumanoidalnych strażników. Ufał swoim siłom i doświadczeniu, lecz przewagę innych zawodników stanowiła młodość. Darogwiad stawiał się jako jedyny ze starego pokolenia tropiśladów. Wszyscy przyjaciele z dawnych lat przepadli w trzewiach krętodrogów, umarli lub osiedli w darowanych przez kapłanów gródkach.

Wojownik pocieszał się tym, że miał wsparcie czarownego żurawia, który pomoże mu w przejściu Małego Labiryntu, ujawniając pułapki zastawione w prawdziwym krętodrogu. Obrazy tych niebezpieczeństw zostaną głęboko schowane w pamięci tropiślada i w razie potrzeby ujawnią się, ostrzegą. Niestety, czarowny żuraw mógł wyczuć tylko przeszkody nieruchome, przynależne do jednego miejsca w labiryncie. Inne wojownik musiał odnaleźć sam.

Teraz już młodzi tropiśladowie nie korzystali z pomocy żurawi, gdyż te niezwykle rzadko przywiązywały się do człowieka. Darogwiad miał szczęście. Wszystkie trzy ptaki, z którymi ćwiczył, okazywały mu nie tylko szacunek, ale i przyjaźń. Inni wojownicy labiryntu nieraz przez całe lata nie przystępowali do zawodów, gdyż po śmierci pierwszego żurawia z żadnym innym nie mogli połączyć się mocą. Dlatego kapłani zaprzestali szkolenia ptaków, zwłaszcza że zdołali stworzyć napar z czarnej odmiany trzylistnika. Napój taki, podany wojownikowi przed wejściem do Małego Labiryntu, pozwalał zawczasu ujrzeć część niebezpieczeństw nieruchomych. Ale tylko część. Żaden napar nie mógł zastąpić magicznego wzroku żurawia.

- Twoja kolej, Darogwiadzie - rozległ się głos jednego z kapłanów.

Dochodziła połowa nocy. Prawie pełny księżyc oświetlał polanę, na której kamieniami oznaczono kolisty mały Labirynt. Oczyma wyobraźni Darogwiad ujrział zamiast tego łatwego do przejścia krętodroga zawile korytarze, przepastne urwiska i jaskinie zamieszkałe przez ślepe zwierzęta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, niedługo zobaczy je na własne oczy. Musi je ujrzeć, bo inaczej skończy jako karczemy dziad. A przede wszystkim straci wiarę w samego siebie.

Zdjął skózaną kurtę i poluźnił haftki koszuli. Wszystko robił wolno nie chcąc, by gwałtowny ruch zburzył opanowanie. Pochylił się ku żurawiovi - wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że Przewodnik jest gotów.

Darogwiad zaczekał, aż ptak znajdzie się u wejścia do Małego Labiryntu. Wtedy wspiął się na palce i rozpoczął wolny, dostojny Taniec Żurawia.

Pierwsze ruchy zrobił według dawno wyuczonego wzoru, nakazującego kręcić się wokół własnej lewej ręki. Lewa była

stroną ciemności, a wchodząc do krętodroga opuszczało się świat ludzi, toteż prawe ramię przestawało być ważne.

Pozwolił się nieść magii, nie chcąc ani nie mogąc wkraczać w jej dziedzinę. Ona dawała mu teraz życie, jedyne prawdziwe życie dla każdego tropiślada.

Wystarczyła chwila, by wyćwiczeni towarzysze nawzajem ujrzeni swe myśli. Darogwiazd widział teraz to, co żuraw dostrzegał podwójnym wzrokiem, sięgającym poza słoneczny świat. Teraz ptak stał się prawdziwym Przewodnikiem. Ciało tropiślada nadal tańczyło, lecz zmysły słuchały tylko wskazówek Ptaka Zaświatów.

Przed oczami pojawiały się rozmyte obrazy, które zaraz uciekały, by dać miejsce nowym, równie niejasnym. Układały się w nieskończony wir pięciokolorowych plam. Plam tętniących barwami przeszłości i przyszłości. Dawno już nauczył się, że tych kolorów nie należy pojmować. Chłono je i przyjmowało. Gdyby próbował objąć je rozumem, zapadłby się w świat całkowitej czerni.

Roztańczone ciało wykonywało figury całkiem niezrozumiałe dla patrzących. Mogły ukazywać zarówno walkę, zwycięstwo, ucieczkę jak i śmierć. Każdy z zawodników różnie je wyrażał i u każdego oznaczały co innego.

Darogwiazd ujrzał raptem, że znów jest we własnym ciele. Ciężko oddychał, zmęczony tańcem. Nie mógł przełknąć śliny, kurz niemal zatykał gardło. Tropiślada opanowywał ruchy, zmuszając się do coraz wolniejszych gestów końcowych. Wreszcie zatrzymał się.

Dwóch kapłanów chwyciło go pod ramiona i pozwoliło napić się zimnego mleka. Podszedł uśmiechnięty Najwyższy Stróż Przybytków Bożych.

- Wygrałeś, Darogwiazdzie. Tańczyłeś pół nocy i cały dzień. Nikt nie dostał tylu ostrzeżeń o niebezpieczeństwach, co ty. Jesteś najlepszy. Nadal jesteś najlepszy!

2. Puella scelerata

Dwa dni, które pozostały do pełni księżyca, Darogwiazd wypełnił przygotowaniami do wyprawy w głąb ziemi. Kilka razy rozmawiał ze swoją sową, Mszarką, tłumacząc jej, że tym razem wchodzi do najgroźniejszego labiryntu, jaki kiedykolwiek widzieli. Że muszą się nawzajem ochraniać i ostrzegać w razie niebezpieczeństwa. Muskał delikatnie pióra skrzydlatego przyjaciela, chcąc stać się jedynym posiadaczem jego zaufania i życzliwego ciepła.

Żółte oczy ptaka, okolone liniami z ciemniejszego i jaśniejszego upierzenia do złudzenia przypominającymi zarys labiryntu, uważnie wpatrywały się w usta człowieka. Sowa powoli kiwała łebkiem, jakby zgadzając się z każdym słowem tropiślada. Kiedy tylko zostawiał ją w spokoju, zamykała ślepią i zasypiała. Przecież przez najbliższe kilka dni nie będzie mogła pozwolić sobie na sen.

Darogwiazd z równą czułością przemawiał do nefrytowego, obosiecznego topora. Czyścił go miękką wełną, dającą

kamieniowi leniwy blask, jaki ma w oczach człowiek opuszczający władztwo snu. Nefrytowe topory spały bowiem w świetle słońca, a budziły się wkraczając do krain zakazanych dla człowieka. Błękitno-zielony kamień czuł też, że niedługo spotka się z czarami, które zrodziły się za czasów ciemnowłosych ludów. Ludy owe wydobyły kiedyś ten kamień z okowów ziemi, ociosały i nadały czarodziejski kształt podwójnego ostrza.

W wieczór, którego ukoronowaniem miała być noc pełni, tropiślad usiadł pod rozłożystym dębem, opierając dłonie o soczystą darń. Powoli zaciskał pięści, czując jak palce najpierw przebijają mech, a potem zagłębiają się w wilgotnej próchnicy. Ostre korzenie i małe kamienie przebijały skórę rąk. Krew spływała kropelkami, chciwie wchłaniana przez żyjącą ziemię.

Ta ofiara, a nawet samo dotknięcie urodzajnego Ciała Matki dawało mężczyźnie rozkosz fizycznego kontaktu. Czuł się nagi w swej prośbie do siły rozporządzającej żywiołami, a jednak doskonale wiedział, że owa nagość wcale nie jest słabością.

Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że stoją przed nim kapłani. Mistrz ich grona skinął na tropiślada. Razem podeszli do Małego Labiryntu. W centrum stała młoda dziewczyna. Biała szata i wiszący na szyi wieniec świadczyły, że to ona wzięła na siebie trudną rolę Niewinnej.

Wyglądała prawdziwie bezbrinnie, z rękami złożonymi na podolku, z długimi włosami osrebrzonymi poświatą księżycową, z nagimi stopami.

Najwyższy kapłan ściągnął ubranie z tropiślada, a niebieską maścią, którą rozmazał sobie na dłoniach, natarł jego krocze. Kiedy skończył, popchnął wojownika ku labiryntowi.

Darogwiadz szybko pokonywał znane już ścieżki krętodroga. Coraz to wydłużał krok. Przyśpieszał, pędzony pożądaniem.

Niewinna nie stawiała oporu, gdy brutalnie zrywał z niej ubranie. Nie jęknęła, gdy okręcił długie włosy wokół dłoni. Nie otworzyła oczu nawet wtedy, gdy pociągnął jej głowę ku ziemi.

Dwoma uderzeniami kolana zmusił dziewczynę do rozłożenia nóg. Trzęsąc się z niecierpliwości, ledwie zdołał wprowadzić członek do gorącej jamki. Poczuł opór, ale nacisnął mocniej i wszedł do końca.

Miękka ciasność Niewinnej nie przyniosła jednak przyjemności. Spełnienie wciąż nie nadchodziło, a mężczyźnie zdawało się, że jego miecz tkwi w kowalskich kleszczach. Nigdy jeszcze nie czuł nic podobnego podczas magicznego kochania się z Niewinnymi. Te młode kapłanki, dziewice jeszcze, starały się zwykle sprawić jak największą przyjemność tropiśladom, aby ukazać jak wielka poprzez tę chwilę spływa na nich siła Matki Ziemi.

Darogwiadz wiedział, że musi okazać się mężczyzną, bo

inaczej nie dostąpi zaszczytu wejścia do labiryntu. Zebrał resztkę sił. Nakazał sobie być buhajem, być ogierem, być samcem! Niewiele to pomogło.

Coraz to bardziej zwalniał ruchy. Brakowało oddechu. Czuł jak opuszcza go podniecenie.

I wtedy właśnie jakby ktoś usunął przeszkodę uniemożliwiającą spełnienie. Nieznana siła dała mu moc. Poczul ból w trzewiach, jądrach, a członek nieomal spłonął od gorączki. Ciało Niewinnej naprężyło się nabrzmiewając pięcioma boskimi płomieniami. Ogień spowił jej biodra, potem piersi, szyję, głowę. Wreszcie wydostał się spomiędzy zaciśniętych zębów, rozlewając białym pękiem na ustach.

Darogwiazd puścił biodra dziewczyny i upadł na ziemię.

Kręciło mu się w głowie, ręce drżały, język zmarniał suchością, ale wojownik wiedział, że Matka dała błogosławieństwo. Skalny krętoodróg zapraszał w swe trzewia.

3. Umbra

Otwór prowadzący do jaskini wyglądał niepozornie. Mały, na wpół zasypany skalnym gruzem, porośnięty żarłocznymi ramionami bluszczu.

Darogwiazd obejrzał go uważnie i doszedł do wniosku, że nie jest Wejściem. A jeśli nie jest Wejściem, to wiedzie do niego. Budowniczkowie krętoodróża najwidoczniej chcieli za wszelką cenę zatrzeć ślady jego istnienia, skoro nie ozdobili otworu jaskini symbolami Wejścia. W czasach Darogwiazda specjalnie niszczone labirynty, jednak przecież Stare Ludy nie obawiały się gwałcicieli tych przybytków świętości, dlatego ukrycie Wejścia zdało się tropiśladowi dziwne.

- Leć - szepnął do siedzącej na ramieniu sowy.

Rozpostarła ogromne skrzydła i cicho zniknęła w ciemnym otworze.

Tropiślad sprawdził, czy topór mocno trzyma się za pasem, po czym zarzucił na plecy torbę z kilkunastoma pochodniami.

Stojący obok kapłan podał zapalone łuczywo.

Darogwiazd czuł, jak serce bije mocniej niż zawsze.

Mocniej niż zawsze, gdy wkraczał do labiryntów. Mocniej niż zawsze, gdy wkraczał do sztucznych labiryntów.

Grota niczym nie różniła się od setek widzianych przez wojownika zwykłych grot. Mimo to szedł czujny, mając wrażenie, że za chwilę wpadnie w pułapkę lub coś go zaatakuje.

Cichutki szum, niesłyszalny dla niewyćwiczonych uszu, powiedział tropiśladowi, że nadlatuje Mszarka. Usiadła na stalagmicie i zahuczała. Zrozumiał, że ostrzega przed czymś żywym, co czeka nie dalej jak sto kroków stąd.

Zaczęło się.

Darogwiazd wiedział, kto czekał - jego cień, Nieprawdziwa strona, Nieprawy Brat Bliźniak. Tak, jak wojownik był uczciwy, tak Brat - zdradziecki. Tak, jak tropiślad okrutny, tak cień - łagodny...

Cień zawsze pilnował Wejścia. Mógł stać tylko przy nim, gdyż to właśnie przez Wejście został powołany do życia. Brama labiryntu natychmiast poznawała wnętrze człowieka, który się zbliżał i wyczarowywała jego przeciwieństwo.

Wojownik zabijał cienie zadowolony z poczucia własnej siły. Większy jednakże był chyba ból towarzyszący tej walce. Unicestwiał człowieka, tak, chyba człowieka, który posiadał tyle cech wymarzonych przez Darogwiazda. Niszczył Brata, którego nienawidził, któremu zazdrościł, ale też podziwiał i kochał.

Tropiślad wiedział, jak pokonać swoje krzywe odbicie. Inaczej nigdy by nie dotarł do Jądra żadnego kręto droga.

Już z daleka dostrzegł barczystego człowieka, stojącego między dwoma kamiennymi kolumnami, które jaśniały błękitem nefrytu. Darogwiazda zdziwiła sylwetka przeciwnika. Dotąd cienie były małe i chude - dokładne przeciwieństwa jego mocnej budowy. Tym razem Brat zdawał się przewyższać go umięśnieniem i wzrostem.

Wojownik zdał sobie sprawę, że stary sposób walki z cieniem nie przyniesie zwycięstwa - w tym labiryncie wszystko wydawało się inne, dziwaczne. Mimo to nie był w stanie wymyślić na poczekaniu nowego rozwiązania, musiał spróbować starego.

Stanął kilka kroków przed przeciwnikiem. Wolnym ruchem dobył topora. Obrócił go kilka razy, jakby oglądając, a w rzeczywistości dziwiąc się sobie, że robi coś, co i tak nie przyniesie korzyści.

Cios runął z siłą padającego drzewa.

Darogwiazd cofnął się natychmiast sycząc z bólu. Ostrze odbiło się od piersi Brata, niemal wrywając ze stawów ramiona wojownika.

- Ty mi nic nie zrobisz... bracie - wyrzekł wolno cień.

- Nie jestem twoim przeciwieństwem. I nie powołał mnie do życia nakaz Wejścia. Stworzyłeś mnie sam, marząc o zabiciu stryja. O zgwałceniu kapłanki poświęconej bogom. O klęsce przyjaciół ze szkoły tropiśladów. Wszystko to w sobie stłumiłeś i dzięki temu ja żyję. Nie jestem twym przeciwieństwem, więc nie pokonasz mnie w walce wręcz. Patrz - jestem nawet mocniejszy niż ty.

Tropiślad wbijał wzrok we wroga nie rozumiejąc, co tamten mówi. Czyżby stworzyło go zło, tłumione w duszy przez całe lata? A czym można zniszczyć zło? Jedni mówią - dobrem. Ale tych jest mniej. Drudzy mówią - złem. I ci mają rację.

Zawsze wiedział, że przyjdzie mu kiedyś znów stanąć naprzeciw własnym niegodziwościom. Teraz jednak, gdy przyszedł na to czas, uczuł strach. Bo straszne jest przyznanie się do winy, ale jeszcze gorsze wymazanie jej uczynkami znacznie cięższymi.

Pełnym prośby ruchem przygarnął topór ku piersi. Tym starodawnym gestem, oznaczającym połączenie dwóch ostrzy broni z dwiema stronami duszy ludzkiej, wyzwalał moc drzemiącą w kamieniu, moc, którą kiedyś zaklęli w nim

starożytni Czarownicy Podwójnych Toporów.

- Spraw, by ci, o których myślę, wyszli z mej głowy i stanęli przy mnie - wyszeptał gorączkowo, jakby bojąc się, że na przemówienie pełnym głosem nie starczy mu sił.

Zamknął oczy i przywołał obrazy ludzi, o których wspominał cień. Zdawali się pełni życia, choć smutni. Wyobraził ich sobie najwierniej, jak mógł. Wszyscy młodzi. Tacy, jak wtedy, gdy ich nienawidził lub kochał.

Otworzył oczy.

Stali obok. Wpatrywali się w skalne ściany, nie wiedząc dokąd ich wezwano z przeszłości. Nie żyli już od lat. Teraz mieli umrzeć wcześniej niż było im dotąd pisane.

Tropiślad zadawał ciosy bez opamiętania, widząc tylko w oddali Brata, który po każdym uderzeniu zwijał się z bólu, jakby to jego dosięgało ostrze.

Wojownik opuścił topór. Stała przed nim już tylko kapłanka. Piękna kobieta, o kształtach zdolnych rozpalić ogień w każdym mężczyźnie. Ale już nie w tropiśladzie. Już nie.

- I tak mnie nie pokonasz - rozległ się chrypiący głos rannego. - Nie możesz pamiętać wszystkich, którym źle życzyłeś. Zawsze pozostanie we mnie dość życia, bym ci nie pozwolił przejść.

Darogwiadz nawet nie spojrzał na niego. Teraz miał pewność, że postępuje właściwie.

- W takim razie uczynię rzecz znacznie gorszą niż wzięcie jej siłą. Pozostawię tę kobietę przy życiu, wiedząc, że jako starucha doprowadzi swymi matactwami do wygubienia dzielnych mężów z rodu Stągawów. Pozwolę jej na ten haniebnny czyn.

Obraz kapłanki zniknął.

Wojownik zatknął topór za pas, klasnął przywołując sowę i wszedł między kolumny. Zachrzęściły kości, gdy deptał to, co pozostało z Brata.

Darogwiadz cichutko zagwizdał pieśń starców. Nie tak wyobrażał sobie kiedyś pożegnanie z młodością. Nie tak.

4. Specus vitae

Gdyby nie pamiętał, że niedawno minął Wejście, mógłby sądzić, że cały czas znajduje się w tej samej jaskini. Nigdzie nie dostrzegł śladów, które by mówiły, że kiedykolwiek przebywali tu ludzie. Wszędzie tylko oślizłe od wody stalagmity, kapiące stalaktyty i grube jak uda mężczyzny stalagnaty. Przed światłem pochodni umykały do szczelin różnej wielkości białe stworzenia. Większość wyglądała na zwykłe ślepce, owady zamieszkujące wszystkie jaskinie, stroniące od słońca. Jednak mężczyzna dostrzegł też większe zwierzęta, przypominające wyrosnięte krety o bladawej, półprzezroczystej skórze. I one musiały być prawie ślepe, skoro nigdy nie wychodziły z tej ciemności, ale tropiślad wiedział, że nie oznacza to wcale, iż nie są niebezpieczne. Gdyby tylko, złym trafem, zgasło mu łuczywo, a w pobliżu znajdowało się kilku mieszkańców cienia,

natychmiast by się na niego rzucili.

Odegnął myśl, że mogą czaić się tu też puchniaki, groźne grzyby, sadowiące się w załomach ścian jaskiń i czekające na nieostrożne zwierzęta. Kiedy tylko wyczuły żywą istotę, puchły, nadymały się, a potem, wypuszczając powietrze, wyrzucały ciemny pył, na miejscu zabijający ofiarę. Potem pozostawało już tylko powolne wchłonięcie nieruchomego ciała. Po większym jedzeniu puchniak nie był niebezpieczny przez pół dnia.

Skoro jednak sowa nie ostrzegała na razie przed niczym, mógł iść szybko i bez obawy. Zwykle przed pierwszym rozwidleniem dróg nie zastawiano żadnych pułapek.

Mszarka czekała na niego w okrągłej komnacie, którą wykłuły ludzkie ręce, aby połączyć kilka naturalnych korytarzy. Wskazał ten, który miał zbadać ptak. Sam zajął się pozostałymi trzema.

Zagłębił się kilka kroków w pierwszym chodniku. Zaraz jednak ujrzał zakręt, za którym podłoga się urywała. Przepaść nie sięgała głęboko, ale i tak nie dałoby się jej przekroczyć bez liny i haków. Każdy, kto szedłby mniej ostrożnie od tropiślada, wpadłby w tę jamę.

Drugie i trzecie przejście wyglądały na możliwe do przebycia. Nie pojawił się też w umyśle wojownika żaden ostrzegawczy obraz od żurawia.

Sowa nadleciała chwilę później. Jej korytarz był nie do pokonania. Pozostawały zatem dwa do wyboru. Zwykle stosowano metodę skrętu w lewo czy też wybierania lewego z możliwych korytarzy. Darogwiadz jednak przekonał się już, że w tym labiryncie nie wszystko wyglądało tak, jak w innych. Postanowił zaryzykować. Wszedł w prawe przejście.

W miarę marszu dostrzegał wciąż więcej i więcej stalagnatów. Tworzyły coraz gęstsze skupiska, pozostawiając wąskie przejścia dla człowieka. Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie tylko ktoś bardzo chudy mógłby się przecisnąć.

Uniósł pochodnię, aby lepiej się rozejrzeć. Migoczący blask rzucał setki ruchomych cieni, które zmieniały prawdziwy kształt jaskini. Jednak doświadczone oczy wojownika dostrzegły szerszą przestrzeń pomiędzy stalagnatami, tuż przy ścianie. Tamtędy powinien spróbować się przedostać.

Już wkraczając między kamienne kolumny ujrzał w myślach ostrzeżenie od żurawia. Nie zdążył się cofnąć. Stalagnaty zwarły szereg, poruszyły się niczym żywe istoty. Został otoczony kratami skalnego więzienia.

Nakazał sobie spokój. To pierwsza i najważniejsza zasada w obliczu niebezpieczeństwa.

Dopiero teraz dostrzegł, że zaledwie o wyciągnięcie ręki znajduje się podobna cela, w której tkwiły spróchniałe kości człowieka. Wysłannika kapłanów? Raczej nie, bo wtedy wiadano by już od dawna o istnieniu tego labiryntu. Musiał być to ktoś, kto jeszcze w czasach Starych Ludów próbował dotrzeć do Jądra krętodroga.

Ten człowiek nie wydostał się z pułapki. Ale też zapewne nikt go nie szkolił w sztuce pokonywania labiryntów.

Darogwiazda szkolono, ale i tak nie miał pojęcia, jak się stąd wydostać. Nigdy nie spotkał się z tego rodzaju przeszkodą.

Usiadł. Odszukał wzrokiem Mszarkę. Siedziała, bezpieczna, kilka kroków dalej. Spokojnie czyściła pióra, zupełnie jakby nie dostrzegała kłopotów swego pana. Darogwiazd uśmiechnął się w duchu. Spokój...

Na czyją pomoc może liczyć? Wiedział.

Topór stał się ciepły, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę. Tropiślad wyjął go z za pasa, przyłożył dłoń do niebieskiego ostrza.

Nie zawiódł się. Dostał radę.

Postawił broń pomiędzy kolumnami. Nałapanie w dłonie skapującej po stalagnatach wody zabrało mu dużo czasu, ale w końcu miał jej dość, by skropić cały topór.

Począwszy od ostrza broń zaczęła wybrzuszać się i puchnąć jak nadmuchiwany rybi pęcherz. Powoli rosła, przybierając jasną barwę wapienia, aż w końcu stała się niczym sąsiednie stalagnaty. Te, chcąc zapewnić nowej kolumnie miejsce do ustawienia, przesunęły się na boki.

Na to tylko czekał Darogwiazd. Chwycił dolną część stalagnata, która w jego rękach znów powróciła do kształtu styliska. Bez trudu przeszedł przez otwór powstały po zniknięciu skały wyczarowanej przez topór.

Mógł iść dalej. Jak nakazywał obyczaj, nakreślił wokół ostrza kilka dziekczynnych znaków. Odwróciwszy się, zauważył, że kolumny powróciły na poprzednie miejsca. Chciały znów utworzyć przeszkodę, gdy przelatywała między nimi sowa, jednak zwierzę okazało się szybsze.

Darogwiazd jeszcze trzy razy napotykał rozwidlenia dróg i zawsze wybierał korytarze na prawo. Wciąż nie miał pewności, czy idzie dobrze, szczególnie, że zdawały się temu przeczyć dziecinnie łatwe przeszkody - zapadnie, kamienni strażnicy zionący ogniem lub plujący strzałami. Ale wiedział też, że nikt by się nie trudził uprzykrzaniem drogi, która prowadzi donikąd. A zatem, jeśli rzeczywiście wybierał dobre ścieżki, coraz łatwiejsze przeszkody mówiły o jednym: zbliża się do połowy drogi, do miejsca, gdzie kończy się świat niebezpieczeństw materialnych, a zaczyna coś gorszego - Droga Ostateczna i Jedyna, Droga Wiodąca do Śmierci.

5. Specus mortis

Wstąpił na nią tuż za następnym zakrętem.

Darogwiazd poczuł się jak w korytarzu pałacowym, chociaż ściany i strop były tutaj kamienne, a nie drewniane. Duże bloki skalne, dokładnie dopasowane do siebie, pokryto rysunkiem korowodu barwnych postaci, głównie kobiet niosących naczynia ofiarne. Domyślił się, że ma przed sobą starożytne kapłanki Wielkiej Matki, gdyż ubrane były w święte stroje: różnokolorowe kaftaniki z dekoltem

odkrywającym jędrne, sztywne piersi oraz w wielobarwne, kilkuwarstwowe spódnice, tworzące szerokie klosze. Wszystkie kapłanki podążały ku ołtarzowi w kształcie rogów byka. Tam wrzucały zawartość mis do ogniska rozpalonego między rogami.

Malowana droga zakręcała trzykrotnie. Na jej końcu tropiślad zobaczył Granicę Między Życiem a Śmiercią. Odtąd przestawały się liczyć wszelkie nauki, nakazy moralne i wytrenowane odruchy. Opadały z człowieka niczym zeschnięte liście, zostawiając go takim, jaki był naprawdę, w nieskalanym wnętrzu. Tylko taki mógł dotknąć Granicy.

Korytarz należący do śmierci obmywało czerwone światło, wydobywające się nie wiadomo skąd. Na jego tle rysowała się drobna kobieca postać.

- Podejź! Czeka cię próba! - krzyknęła ku przybyszowi głosem miękkim, lecz władczym.

Mimo że stanął kilka kroków przed nią, nie mógł dostrzec twarzy. Spowijał ją mrok, nadający zgrabnej postaci wygląd demona. Darogwiadz wiele razy walczył z potworami lęgnącymi się w czeluściach labiryntów, pokonywał najróżniejsze czary, ale dopiero ta kobieta wzbudziła w nim prawdziwy strach. Wolałby mieć przed sobą staruchę pokrytą wrzodami niż widzieć tak piękne kształty połączone z czarną bramą otchłani.

- Nie bój się. Musisz tylko prawidłowo wybrać. Jeśli nie uda ci się, odejdiesz. Granica zamknie się. Jeśli odgadniesz prawdę, poprowadzę cię dalej.

W tej chwili nie wiedział, czy woli odejść, czy być prowadzonym przez demona. Nie zostawiła mu jednak czasu do zastanowienia.

- Granica żąda ofiary. Krwi. Zdecyduj, kto z was ma zginąć. Ty czy sowa?

Wypowiedziane lodowatym tonem słowa zmroziły wojownika. Kogo złożyć w ofierze? Jeśli zabije siebie, nie pójdzie dalej. Jeśli sowę, zawsze prześladować go będzie wspomnienie żółtych, ufnych oczu. Była częścią jego samego. Nie miał przyjaciół pośród ludzi, zaś żuraw i Mszarka darzyły go uczuciem głębszym od przyjaźni. Nie, dla kapłanów nigdy nie zabije sowy. Będą musieli wybrać kogoś innego do przebycia tego labiryntu, on wraca.

- Wybierz mądrze!

A jeśli zabije siebie? Przecież już i tak jest na Granicy Śmierci. Umarł wchodząc do krętodroga. Umrze przekraczając Granicę. Czemu więc nie miałby zrezygnować z życia jeszcze raz?

- Wybrałem.

Kobieta wyciągnęła rękę, otworzyła dłoń. Mężczyzna dostrzegł, że podaje niewielki sztylet ze srebra. Chwycił go i obejrzał. Trójkątne ostrze łączyło się z rękojeścią w kształcie półksiężyca. Dwa symbole Matki Ziemi wykute na dodatek w poświęconym Jej metalu.

Tropiślad bezradnie spojrział na beztwarzą postać i wymamrotał jakieś bezładne słowa przerażenia - domyślił się,

w jaki sposób ma złożyć ofiarę. Musi pójść śladem Ojca Niebieskiego, boskiego oblubieńca.

Wybrał jednak i nie mógł zawrócić.

Rozsznurował i opuścił spodnie. Mocno uchwycił prawą ręką członek, a lewą ciało.

Poczuł ból nie tyle rozcinanego ciała, co umierających wnętrzności. Jelita, żołądek, wątroba stanęły w ogniu, napęczniały, gotowe rozerwać brzuch. Płuca zachłysnęły się powietrzem i pękły na tysiące krwawych strzępów, potem spadły w ogień trzewi i spłonęły.

Wojownik opadł na kolana.

Zemdlał. Umarł. Pochłonęła go ofiara.

Granica zniknęła. Czerwone światło objęło w posiadanie ciało przybysza.

6. Iter salutis

Zbudził go dotyk miękkiej dłoni. Pochylała się nad nim demonica - rozpoznał ją od razu, mimo że zmieniła się. Zamiast czernieć pustką twarz jej teraz promieniowała pięknem. Pięknem drapieżnym, wszechwładnym, ale też zmęczonym.

- Nie żyłeś, ale tchnęłam w twoje usta Słowo. Ono uczyniło cię żywym i sprawnym, jednak na razie mogę ci dać tylko tyle.

Darogwiadz zrozumiał dopiero, gdy dotknął krocza. Duży strup dokładnie wskazywał miejsce, gdzie kiedyś wojownik miał to, co najważniejsze. Nie opanował nim żal ani przygnębienie. Miał przecucie, że ból to tylko jeden ze stopni, które musi pokonać.

- Nic nie mów. Przygotuj się do dalszej drogi. Pamiętaj, że do czasu Zaślubin nie wolno ci wyrzec więcej niż jedno zdanie. Ono przesądzi o twych dalszych losach.

Tropiślad nie wiedział, czym będą zaślubiny, lecz skoro mógł użyć tylko jednego zdania, pytania pozostawi na później.

Po kilkunastu krokach doszli do wielkiej jaskini, gdzie miejsce czerwonej poświęty zajęły ciemności. Odwrócił się do przewodniczki, ale zniknęła. Pojął, że czeka go następna próba.

Zapalił wszystkie pochodnie i powtykał je w szczeliny skalne. Dopiero wtedy rozejrzył się.

Wnętrze grota tonęło w mroku, jednak strop wisiał tylko kilka kroków nad głową wojownika. Pomieszczenie miało ściany pomalowane na czerwono. Nie był to naturalny kolor skały. Wysypane drobnym piaskiem podłoże w wielu miejscach zawałały stosiki szarych kulek. Tropiślad dotknął ich. Odchody. Jedne stare, inne świeże.

Naraz zakreśliło mu się w głowie, pociemniało w oczach, jednak zamiast zemdlec, ujrzał ostrzeżenie od żurawia: grota wyglądała tak, jak przed chwilą, ale nigdzie nie dostrzegł łajna. Zaraz potem powrócił dawny obraz jaskini, lecz po co władczyni labiryntu miałyby go mieć widokiem nieczystości?

Z zamyślenia wyrwały go głośnie kroki. Szybko odwrócił się

ku niebezpieczeństwu.

Z mroku wyłaniał się czworonożny stwór o ciele byka. W miejscu, gdzie powinien widnieć łeb, wyrastał tułów człowieka. Jego twarz osłaniała maska, która w innych okolicznościach wydałaby się wojownikowi śmieszna - ukazywała oblicze wykrzywione strachem.

Właśnie ten strach stał się w jego oczach własną bojaźnią, od zawsze tłumionym lękiem przed nieznaną, a przecież tkwiącą w nim samym obcością. A teraz znalazł się właśnie w świecie nieprzyjaznym, niezrozumiałym i pełnym bólu. Jakie znaczenie ma to, czy będzie walczył, czy pozwoli zadusić się wrogowi...

Niespodziewanie uczył na ramieniu szpony. Sowa. Ta jedyna więź z życiem i znanym światem pozwoliła mu ocknąć się ze snu zwątpienia. Znow zaczął myśleć.

Nieprawdziwe odchody.

Jedno zdanie.

SŁOWO.

- Ty jesteś NIEŻYWY - krzyknął.

Zniknęło zwierzęce łajno. Potwór stanął w miejscu, zamarł. Maska opadła na piasek odsłaniając nieruchome rysy posągu.

Tropisład podszedł do niego i niepewnie dotknął skóry. Metalowa. Z brązu.

- Poznałeś jego prawdziwe istnienie, Darogwiazdzie - demonica pojawiła się tuż obok. - Nie zbywa ci na sprycie ani na mądrości.

Spojrzał na kobietę, czekając na dalsze słowa.

- Moje prawdziwe imię brzmi: Niewinna.

Zrozumiał, że zaufała mu i dała władzę nad sobą.

Postanowił nigdy nie zawieść tego zaufania.

- Twoje prawdziwe imię brzmi: Ojciec Niebieski.

7. Iter mysticum

Prowadziła go za rękę niczym bezbronnego dzieciaka aż do stóp stromych schodów.

- Wejdz na nie i nie obawiaj się niczego. Tylko będąc sobą zdobędziesz to, co chcesz.

Darogwiazd klasnęła na sowę, ale ta nie przyleciała.

Usiadła na ramieniu demonicy i kiwnięciem łebka dała znak, by szedł sam.

- Wszystko, co cię spotka, jest przeznaczone tylko dla człowieka. Sowa nie ma tam wstępu.

Zbliżył pochodnię do schodów. Każdy stopień ozdobiono płaskorzeźbami przedstawiającymi oblicza potworów i najciemniejszych demonów. Darogwiazd wiedział, że stąpając po ich twarzach okazuje im wyższość i pogardę.

Schody kończyły się przed rzeźbioną bramą, której strzegł kamienny kolos o twarzy uplecionej z jelit, o ustach z ognia i członku zakończonym głową węża.

Tropisład nie przeklął strażnika, choć tak nakazywały nauki kapłanów. Po cóż przeklinać kamień?

Za bramą pochodnia przestała być potrzebna. Cztery ustawione pod ścianami trójnogi z płonącymi węglami oświetlały całą komnatę. Wojownik rozejrzył się. Pomieszczenie było sześciokątne. Na samym środku wznosił się masywny ołtarz, okolony ustawionymi pionowo rogami byków. Lewymi rogami. Pomiedzy nimi spoczywała malutka figurka Wielkiej Matki. Jedynie ciężkie piersi i rozwarty srom zostały szczegółowo wykończone. Resztę, nawet twarz, ledwo zaznaczono.

Wojownik wolno zbliżał się do posążka, mając wrażenie, że ołtarz jest paszczą, której zęby-rogi zaraz go połkną i zmiążdżą.

Wreszcie stał u celu wędrówki. Dorównał Dobarowi. Imię jego przejdzie teraz do legendy.

Delikatnie ujął figurkę. Podniósł ją bez wysiłku, zrobiona była z drewna. Cieszył oczy tak cenną zdobyczą, czuł dumę z tak wielkiego czynu. Odwrócił się ku schodom i począł iść. Już miał postawić stopę na pierwszym stopniu, gdy przypomniał sobie, że musi przecież złożyć zadośćuczynienie Matce Ziemi za zabranie figurki. Nie dlatego, że tak nakazywało prawo. Dlatego, że sam czuł potrzebę oddania bogini tego, co się jej należało.

Postawił zdobycz przy bramie. Niecierpliwym krokiem podbiegł do ołtarza, jednocześnie ściągając torbę, by wyciągnąć kadzidła i tablicę z błagalnymi modlitwami.

Kiedy stawiał ofiary między rogami, poczuł, że kamienny ołtarz żyje. Płyty rozwarły się miękko, układając w fałdy cuchnącej potem skóry.

Siła nie do przewyciężenia kazała mężczyźnie pochylić się nad powstałym otworem, z którego dobywał się łomot olbrzymiego serca. Biło coraz szybciej i szybciej.

Darogwiad poczuł, jak jego własne serce pracuje w tym samym rytmie. Szybciej i szybciej.

Dwa serca, a jakby jedno. Zrozumiał, że tego naprawdę szukał.

8. Hieros gamos

Oparł dłonie na byczych rogach, aby móc głębiej zajrzeć w otwór. Nie dostrzegwał nic poprzez ścianę ciemności, ale wydawało mu się, że źródło bicia przybliży się.

Jest tuż, tuż.

Puścił rogi, gdy poczuł, że się poruszyły. Pozbawiony równowagi, wpadł w otchłań. Nie krzyczał, bo strach nie nadszedł. Oddał się pustce dobrowolnie.

Wielkie wargi zamknęły się tuż za jego nogami, a dziesiątki zębów uderzyły o siebie. Został połknięty przez rybę, której nie słyhać. Przez paszczę, której nie widać.

Zaślubiny Ojca Niebieskiego z Matką Ziemią rozpoczęły się.

9. Viscera terrae: Locus absconditus

Spadał tylko krótką chwilę, wystarczająco długą jednak, by

poprzez bicie nieznanego serca spłynęła na niego otucha. Ukoila niepokój i dała moc.

Dwa serca poznały się i połączyły.

Uczuł pod nogami twardą powierzchnię. Gdy tylko wyprostował się, cała przestrzeń zalana została wesołym światłem. Usłyszał śmiech i radosne okrzyki. Zbliżały się dwie procesje.

Pierwsza, większa i barwniejsza, zatrzymała się kilkanaście kroków przed nim. Przewodziła jej Niewinna, ubrana teraz w strój kapłanek Wielkiej Matki. Na jej rękach srebrzyły się wielokrotnie splecione bransolety w kształcie węży pożerających własny ogon. Dumnie uniesione sutki Niewinnej pomalowano na żółto i jaskrawoczerwono. Tworzyły serca kwiatów, których karminowe płatki obejmowały całe bujne piersi.

Długi na wiele łokci tren sukni Niewinnej trzymały chichoczące młode dziewczyny, odziane tylko w powiewne, muślinowe szaty. Rzuciły ciekawe i pełne pożądania spojrzenia na człowieka, zaraz jednak zwróciły oczy ku drugiemu korowodowi.

Szli w nim sami mężczyźni, a raczej stworzenia płci męskiej. Byli tam i ludzie, i półkonie, i osły, i kozły, i półbarany, i mnóstwo innych. Część kroczyła na dwóch nogach, część na czterech. Otaczali dwóch ludzi, trzymających na nosidłach podłużny przedmiot przykryty złotą materią. Inaczej niż procesja dziewcząt, wszyscy utrzymywali powagę, a z ich ust unosiła się groźna, tajemnicza pieśń o niezrozumiałych dla tropiślada słowach. Może zresztą nie było słów, a pozorną pieśń tworzyły prymitywne odgłosy, nie mające nic wspólnego z mową człowieka.

Darogwiazd spostrzegł, że procesja idzie wprost ku niemu. Otoczyli go zwartym kołem, po czym podjęli inną melodię, weselszą i szybszą. Z ich szeregu wystąpiło wolnym krokiem dwóch ludzi z nosidłami.

Położyli je na ziemi i z namaszczeniem unieśli materię. Wspólnie uchwycili spory podłużny kamień i wynieśli wysoko ponad głowy. Na ten widok wszyscy wydali okrzyk radości. Korowód rozpoczął dziwny taniec wokół tropiślada. Wykonywane gesty pełne były sprośności i szczęścia.

Wojownik poznał kamienny przedmiot. Był to niezwykle gruby członek, ozdobiony jądrami wielkimi jak dojrzałe jabłka.

Ludzie niosący dumnego Rozdawcę Życia poczęli powoli krążyć naokoło Darogwiazda, w kierunku przeciwnym niż tańczący korowód. Co kilka kroków przytupywali i, obniżając członka do wysokości własnych kroczy, wykonywali kilka silnych ruchów biodrami. Potem znów rozpoczynali marsz.

Kiedy już trzy razy obeszlą przybysza, przez kordon tancerzy przecisnęły się trzy staruchy. Odebrały kamień mężczyznom i podeszły do Darogwiazda.

Nie wiedział, co ma robić, ale pozwolił im ściągnąć z siebie ubranie. Pomarszczone dłonie zerwały strupy z jego

krocza. Krew rzuciła się na uda, lecz tropisład nie czuł bólu. Staruchy pośród wysokiego krzyku wszystkich obecnych przyłożyły członek do rany i cofnęły ręce. Kamień przywarł do ciała i już tam pozostał.

Kiedy wojownik oderwał od niego wzrok, zgrzybiałe baby przemieniły się w dziewczęta, które uciekły z krzykiem. Człowiek poznał jednak, że nie był to krzyk strachu, lecz radości. Radości, która udzieliła się i jemu, gdyż pojął, że oto jest u kresu drogi. Znalazł siebie.

Poczuł uściski dziesiątków silnych rąk. Ramiona tłumu przekazywały go sobie, aż został zaniesiony przed oblicze Niewinnej. Ta przywitała go uśmiechem i słowami:

- Przybyłeś ku śmierci, a poznasz życie. Myślałeś, że idziesz ku ułudzie, a zaznasz, czym jest istota stworzenia. Przyszedłeś do nas spośród ludzi, ale wiedz, że żyją oni w nieprawdziwie. Są tylko cieniami dawności. Mimo że trzy razy już doznałeś oczyszczenia, nadal pełen jesteś grzesznej pychy. Musisz zostać oczyszczony raz jeszcze, a wtedy otworzy się przed tobą droga objawienia.

Klasnęła i władcym gestem nakazała swym poddanym, by czynili, co należy.

"Droga objawienia" - pomyślał ze zdumieniem tropisład - "chyba już zawsze będę wstępować na coraz to nowe drogi".

Zapłonęły ogniska. Zagrały instrumenty. Przyniesiono kadzie pełne miodu i wina. Rozpoczęła się zabawa.

Dla Niewinnej i wojownika ustawiono dwa wysokie trony, z których mogli obserwować wszystko, co dzieje się w rozległej komnacie. Właśnie przyglądał się jednej z dwórek, gdy Niewinna spytała:

- Jak podoba ci się moje królestwo?

- Myślałem zawsze, że władzę nad labiryntami posiada Wielka Matka - odparł zaskoczony.

- Czyż nigdy nie słyszałeś o trzech prawdach: że Słowo pochodzi od Matki, że Niewinna jest Słowem i że nie ma różnicy między Matką a jej potomstwem? Ja jestem tą, którą nazywacie Ziemią, Mokoszą, Potnią, Wielką i setkami innych imion. Jestem też Słowem i jestem Niewinną.

Darogwiad, który rozmawiał z nią niemal jak z równą, a miał nawet nadzieję na wejście do jej łóża, poczuł się jak niedorostek przy kobiecie dojrzałej, traktującego go przyjaźnie, lecz z pobłażliwością. Zrozumiał dopiero teraz zmęczenie w jej rysach, gwałtowność gestów i pewność mowy. Nie rozumiał tylko, dlaczego czyniła mu tyle zaszczytów i sadzała obok siebie. To przerastało jego pojmowanie. Było też coś jeszcze: rozczarowanie, że wszędzie wszystkim rządzą jakieś sztywne prawa, poza które nie wykraczają nawet bogowie.

Rzekła na to jakby czytała w myślach:

- Tak być musi. - I dodała: - Na razie jesteś tylko człowiekiem, ale dostrzegłam w tobie zacyzyn doskonałości. Niedługo dostąpisz wtajemniczenia, którego niewielu zaznało przed tobą. I pamiętaj, że zrozumienie objawienia czyni

człowieka bogiem.

Pomyślał, że nie pozostaje mu nic jak tylko czekać na wtajemniczenie. Ale nie chciałby ponownie przeżywać katuszy jak przy ucinaniu członka.

- Patrz! - krzyknęła Niewinna.

Upojeni winem podwładni królowej poczęli pisać w uniesieniu. Mężczyźni łapali najbliższe z kobiet. Te nie sprzeciwiały się, oplatając ramionami osłe, ludzkie bądź koźle karki.

Patrzącemu na to Darogwiazdowi na przemian robiło się to zimno, to gorąco. Czuł narastające podniecenie. Gdyby nie siedział obok bogini, rzuciłby się pomiędzy rozpasanych tancerzy.

- Chodź. Poznasz mnie - z niechęcią zrozumiał, że Niewinna chce, by oddalili się od zanurzonych w rozkoszy ciał.

Znalazł się wśród ośmiu zakutanych w opończe starców. Unieśli go na kamienną ławę, potem ogolili i ostrzygli. Posługiwali się nożycami i brzytwą delikatnie i rozważnie. Nie opierał się, czując, że te zwykłe czynności stają się święte w obliczu bogini. Zstała na niego czystość cielesna.

Gdy wstał, jego głowa spłynęła mlekiem i miodem, które pomieszały się, tworząc strumyki obmywające szyję, piersi, ramiona.

Niewinna własnymi rękami wtarła mleko i miód w jego skórę. Zstała na niego czystość duchowa.

- Chodź, poznasz siebie! - rozkazała bogini.

Wzięła go za rękę, tak samo, jak w korytarzach Śmierci. Obserwował jej miękki krok, kołyszące się biodra i nabrzmiące piersi. Obserwował, jak w oczach wzbierają płomienie gorętsze od tych, którymi płonęli kochający się dworzanie. Obserwował lekko rozchylone usta nucące pieśń pożądania.

Chciał jej i tylko jej. Żadna inna nie była w stanie dać mu teraz tego, czego pragnął. Nadal jednak powstrzymywał go strach przed ogniami płonącymi w ciałach bogów. Ogniami zdolnymi spopielić każdą istotę ziemską.

Weszli na schody. Szli tak przez całe setki lat, pokonując tysiące tysięcy stopni. Darogwiazd nie odczuwał zmęczenia i wcale nie chciał, by marsz ten skończył się kiedykolwiek.

Mając Niewinną u boku, gotów był poświęcić wieczność na wspinanie się

nieskończone wspinanie się
do Pałacu Jelit.

Nie miał już wątpliwości, że zmierzali właśnie tam. Do legendarnego grodziska, gdzie wśród krwawych chmur Wielka Matka przyjmowała wszystkich swych wyznawców. Gdzie dawała im wieczną mądrość lub strącała do Przepaści. Gdzie było wszystko i nie było niczego.

Do Pałacu Jelit.

